

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



O K R E Ź T.

OkreŹ burz¸ skolatany
J¸czy na g¸binnie,
Niby cz¸wiek losem gnany,
Gdy pod wod¸ p¸ynie.

* * *

H¸j! odwagi, ty sterniku,
I umiej¸ sterowa¸,
A potrafisz w¸r¸d burz ryku
W porcie zanocowa¸.

M...a.

PAMIĘTNE CHWILE.

Dzień 20 Sierpnia r. 1530. Smutna wieść rozbiegła się po ziemiach polskich, Wołosi wpadli w ich granice; spustoszywszy setki wiosek i miast, doszli aż do Halicza. Na tronie krakowskim zasiadł wówczas Zygmunt stary; posłyszawszy o nieszczęściu, przywołał on hetmana Tarnowskiego na zamek i kazał mu iść naprzeciw wroga. Nie zwlekał długo hetman, pożegnał kraj, rodzinę, zwołał rycerstwo i na wyprawę pośpieszył. Nie był to liczny hufiec, któremu przewodził, ale dobrze uzbrojony każdy rycerz był od stóp do głów żelazem okryty, każdy miał hełm i koszulkę żelazną, tarczę na piersiach, kopią w rękę, szablę u boku i luk, oraz kołczan ze strzałami na ramieniu.

Pięknie wyglądał ten oddział: u hełmów rycerzy powiewały czaple i strusie pióra, u ramion ich szumiały skrzydła, na pancerzach świeciły drogie kamienie, przy kopiach powiewały czerwone i błękitne chorągiewki. Konie rycerzy duże, rosłe również w żelazo były okute, a u głów ich także pióra strusie powiewały, a czapraki złotem były haftowane. Oddział ten posuwał się zwolna, poważnie, bo ciężkie uzbrojenie śpieszyć nie dozwalało. Rycerze jadąc śpiewali pieśń „Boga rodzica“, chorągiewki szeleściły, skrzydła szumiały szable brzęczały, a ziemia dudniła głucho pod stopami wierzchowców. Na czele oddziału postępował Jan z Tarnowa, najstrojniejszy i najdorodniejszy ze wszystkich.

W drugiej połowie Sierpnia wojska dotarły pod Obertyn, hetman kazał rozstawić namioty i okopać je wałem. Na drugi dzień po przybyciu oddziału zjawili się Wołosi, było ich 24,000, Tarnowski miał tylko 4,000 ludzi ze sobą, trwoga ogarnęła rycerstwo polskie, poczęli radzić hetmanowi, aby wrócił do kraju, lecz hetman ani chciał słyszeć o czémś podobnym, kazał tylko czynić przygotowania do obrony, w razie napadu wroga, sam bowiem zaczepiać nie chciał, lecz i cofać się nie myślał.

Było to dnia 22 Sierpnia, rycerstwo polskie, zbudziwszy się ze snu, odprawiło modlitwy poranne, posiliło się, potem zajęło stanowiska przez hetmana im naznaczone: jedni na wałach stali, nastuchując i wypatrując, czy nieprzyjaciel nie nadciąga, inni siedli pod namiotami uzbrojeni i czekali hasła stojących na czatach, sami gwarzyli tymczasem. Wtém od strony wroga rozległ się huk dział, pięćdziesiąt armat jednocześnie zagrało, skoczyli rycerze polscy do koni, i w jednej chwili uszykowali się w szeregi; radzi, że wreszcie

bezczyenne życie się kończy, chcieli już biedz naprzeciw wroga, gdyż rozumieli mowę armat, wiedzieli dobrze, co one powiadają: „Wołosi idą już na was“ więc chcieli naprzeciw nich wystąpić, lecz hetman nie pozwolił, kazał stać i czekać.

Chociaż rozkaz większości się nie podobał, nikt przecież nie ważył się być nieposłusznym; nie długo przytém czekali, niebawem ukazali się Wołosi na małych konikach, pędzili lotem strzały, a widząc, że wróg ku nim nie idzie, sądząc, że się boi, pędzili śmiało, pewni zwycięstwa. Rycerstwo polskie stało nieruchome, jakby martwe, bo tak kazał hetman, lecz gdy wróg przekroczył wały obóz otaczające, wtedy krzyknął Tarnowski: „Za mną dzieci“ i ruszyły z miejsca zbrojne zastępy, a gdy ruszyły, podniósł się taki szum, hałas, brzęk, iż konie wołoskie przeleknione pierzchać poczęły, przerażeni Wołosi nie wstrzymywali ich, próżno Petrylło wołał, groził, nikt go nie słuchał.

Rycerstwo polskie puściło się za pierzchającymi, chwytano do niewoli jednych, drugim śmiertelne strzały posyłało; nakoniec Tarnowski widząc, że Wołosi już się nie wrócą, zaprzestał pogoni i do swego obozu pośpieszył z jeńcami i trupami zdobytymi na wrogu, a potem do Krakowa, gdzie Zygmunt Stary uściskał go, dziękując za zwycięstwo.

Teresa Jadwiga.

PODPORA MATCZYNA,

powieść z czasów dawniejszych.

OFIAROWANA WZADYSIOWI RATYŃSKIEMU.

przez M . . n.

(Dalszy ciąg).

Na jesieni Stach i Wanda najnie spodziewaniej stanęli raz przed zagawędzonymi dwoma starymi potomkami Małachowskich i Paców i przypomnie-li zaręczyny odbyte przed laty. Starzy ledwo coś sobie o tём przypomniawszy, wzruszyli ramionami, i kazali dzieciakom czekać, aż starsze ich ro-dzeństwo postanowioném zostanie, bo teraz dla najmłodszych malców nie ma ani czasu ani środ-ków. Z wielkiem zdziwieniem swoim dowiedzieli się wtedy ojcowie, o czém zapomnieli zupełnie, że malcy ci mają po lat dwadzieścia i dwadzieścia parę, i że żadnych kłopotów z ich postanowieniem nie będzie, bo oni mają już własny swój dworek i całe gospodarstwo. Ze się dwa dworki stawały w puszczy na Okragłej łące, o tём wiedzieli ojco-wie, ale ani pomyśleli kto tam ma mieszkać, bo w puszczy każdy za wiele ma własnego zatrudnie-

nia, aby się miał cudzemi sprawami zajmować, jeśli o to nie jest proszonym.

Ostatecznie, ponieważ przeszkód nie było, a słowo się rzekło przed laty, tedy rodzice wyprawili pannie Wandzie huczne wesele i drugi dworek na Okrągłej łące zamieszkały został. Dwie gospodynie, mieszkające naprzeciw siebie okna w okna przez rzeczkę, jakby przez wązką ulicę, pokochały się serdecznie. Gdy zaś, z powodu zwiększającego się szybko gospodarstwa, trzeba było w obu dworach przyjąć po dziewczę do gospodarskiej pomocy, a przyjaźń gospodyń zwiększała się coraz bardziej, to gospodarze aż radzić zaczęli, czyby mostku jeszcze podeprzeć nie trzeba, aby nie uległ pod bezustanną bieganiną, gdy żadna z dwóch gospodyń bez rady drugiej ani na godzinę obejść się nie mogła.

Lata płynęły, jak srebrna woda w rzeczulce, mieszkańcy Okrągłej łąki żyli szczęśliwi, o ile na tej ziemi szczęśliwym być można. I upłynęło lat tych dziesięć z okładem.

Świeżym porankiem, o bardzo wczesnej wiosnie, o wschodzie słońca, o wiorstę drogi od Okrągłej łąki, szedł Jan Trzaska ze swoim synem Władziem. Pan Trzaska silny, prosty, swobodny, młodszy na pozór niż przed dziesięcią laty, szedł lekkim, żwawym krokiem, pogwizdując z cicha. Miał na sobie krótką, lisiem futrem podszytą sukmanę z ciemno-siwego sukna, z granatowemi kłapami, przepasaną barwistym gdańskim pasem. Takież same miał spodnie i koszulę śnieżno-białą, zawiązaną pod szyją na czerwoną wstążeczkę, faworek, jak tam zowią, i kapelusz nizki, z wązkiemi skrzydłami i z pawiem piórkiem. Tak ubierają się mniej więcej wszyscy pospolicie Kurpie, pod którym to mianem znani są obecnie mieszkańcy puszczy tamtejszych. Tylko na nogach pan Trzaska miał porządne buty, zamiast chodaków łyńczanych, zwanych pospolicie Kurpiami i od których też niektórzy nazwę Kurpiów, to jest mieszkańców puszczy tych wywodzą, chociaż bardzo być może, że nie właściciel od chodaków, ale chodaki od swego właściciela nazwę wzięły. Kamizelki używają Kurpie tylko w wielkie święta, to też i pan Jan Trzaska jej nie miał.

Przez dziesięć lat rozkosznego, pełnego pracy i swobody życia, zrósł on się tak zupełnie z ludem prostym i rozumnym, wśród którego zamieszkał, że i ubranie jego przyjął, ponieważ było mu prawdziwie wygodne. Mały Władek, teraz trzydziestoletni blisko chłopak, niebardzo może na swoje lata wzrostem wybujał, ale za to był taki krzepki, tak dzielnie, dzielniej może od ojca kroczył posuwistym krokiem przez obalone kłody, przeskakiwał po małych zielonych kępkach na bezdennych

tamtejszych trzęsawiskach, i w gęstwinie torował sobie drogę tak potężnemi ciosami toporka, że prawdziwie rozkosz była patrzeć na niego. Ojciec był po prostu, dumnym z tego chłopaka. Nieraz też zdarzało się, że obcy człowiek, patrząc na niego, zapłakał: może ten człowiek nie miał syna... albo go stracił... albo miał niezdare.

Co do ubioru, mały Władek był wiernym wizerunkiem dużego Jana Trzaski, z tą jedyną różnicą, że u kapelusza miał cały pęczek pawich piórek, zamiast jednego, które ojcu matka wpięła za kapelusz dla zwyczaju. Młodziutkiemu chłopczkowi, wychowanemu wśród puszczy i jej zwyczajów, zdawało się, że nosić pawie piórko na kapeluszu, jest jakimś patentem na dorosłego człowieka, i dla tego tak piórek tych pragnął, że rodzice najchętniej całym ich pęczkiem zaspokoiли tę niewinną zachciankę. Miał też Władek i buty na nogach, nosił je chętnie, ale jedynie z posłuszeństwa dla matki, obawiającej się dla niego ukąszenia jakiej gadziny. Gdyby nie to, wolałby był Władzio pewno nosić jeśli nie łynczane kurpie to przynajmniej kłumpie z drewnianemi podeszwami, jakie noszą po większej części Kurpie we wschodniej części puszczy, a które to Kurpie robią taki prześliczny łomot, tupot, hałas i huk na zmarzniętej zwłaszcza ziemi, jakiego naojgroźniejsze buty zrobić nie potrafią.

Każdy Trzaska, duży i mały, prócz toporka w ręce lub za pasem, i dużego myśliwskiego noża, miał jeszcze doskonałą strzelbę. Tak wybrani, ojciec z synem szli żwawo a ostrożnie rozglądając się bacznie a rozmawiając wesoło lecz z cicha, aby zwierzyny nie spłoszyć. Władek szedł cokolwiek naprzód i widocznie wskazywał ojcu drogę, bo wychowany w puszczy i nieodstępny towarzysz Stacha Paca w jego wycieczkach, znał on już teraz wszystkie przesmyki w tém państwie tak, jak sam Stach.

— Czy tylko pewny go jesteś? bardzo się lękam, żeby nam się ten myś nie wymknął!..—mówił ojciec półgłosem, patrząc z upodobaniem na chłopaka, i podobno więcej udając ku jego uciesze zajęcie, niż naprawdę zajmując się polowaniem na niedźwiedzia, którego on wytropił.

— Pewny jestem! — odparł energicznie chłopak i błysnął oczyma, płonącemi myśliwskim zapalem. — Przy mnie wygramolił się z głębi spróchniałego drzewa, gdzie go wypatrzyłem dawno, kiedy spał jeszcze. Chudy jest taki, jak szczapa! tylko futro ma pyszne, właśnie takie, jakiego matce potrzeba. A taki jest słaby, że nie mógł odejść daleko. Gdyby ojciec pozwolił, tobym go wziął na wóz bez strzału!.. — ostatnie wyrazy

Władek wymówił błagalnym głosem, ale ojciec odparł żywo:

— Ani mi się waży strzelać mozesz, ile chcesz! byle ostrożnie, z bezpiecznego stanowiska tak, jak cię Stach nauczył, ale ani mi się waży brać dorosłego niedźwiedzia na wóz, póki sam nie dorosnie przynajmniej.

Władek westchnął, ale nie prosił więcej, bo wiedział, że wola ojca jest nieugięta, gdy ją raz objawi. A chciało się chłopcu poborykać z niedźwiedziem koniecznie, tak samo, jak mu się pawich piórek chciało niedawno, bo chodziły wół żartobliwe gawędki na około pomiędzy kurpiowską młodzieżą, że ten jest dopiero skończonym i godnym szacunku parobczakiem, kto w walce na pięści niedźwiedzia pokona.

Ale że nie było rady na postanowienie ojca, przeto Władek zamilkł, z walniąc kroku i wpatrując się w zakąt ciemnej gęstwiny, bo już dochodził do miejsca pobytu niedźwiedzia.

Po kilku sekundach takiego śledzenia, wskazał też ojcu szarą-burą ogromną postać jakąś nieruchomą, rozciągniętą na ziemi i tylko błyszczącymi oczami zdradzającą życie. Chłopak stanął wedle nauki Stacha tak, aby bezpieczną zająć pozycję, to jest tak, aby zwierz w razie chybionego strzału nie mógł napaść odrazu na myśliwego, lecz aby między nim i sobą napotkał w pierwszej chwili drzewo, lub jaką inną przeszkodę. Tak stanąwszy, Władek zmierzył do niedźwiedzia bacznie i uważnie, bo dobrze wiedział, że chybionym strzałem mógł narazić nie tylko siebie, ale i ojca nawet. A ojciec i Stach wiedzieli, komu ufali, tómsłuszniej, że chłopak nie był wcale zarozumiałcem ani lekkomyślnym, bo surowe a czynne życie w puszczy rozwinęło wczesnie wrodzoną malca powagę. Obecnie, biorąc na cel dzikie, potężne zwierzę, czynił on to z całym uważnym spokojem dojrzałego myśliwca.

Strzał padł i zwierz poruszył się tak leniwie na pozor, że mniej doświadczony strzelca możnaby o spudłowanie posądzić. Ale Władek nie umiał pudłować, a wiedział, jak bardzo osłabionym był niedźwiedź po zimowym poście. Młody strzelec, skierowawszy więc ku zwierzęciu drugą lufę swjej broni, czekał... chciało mu się okrutnie położyć niedźwiedzia od jednego strzału, a że był pewnym swego strzału i dumnym z pysznej strzelby, przeto wstrzymywał się z drugim pociągnięciem cyngla. Niedźwiedź tymczasem, podnosząc się, ujął przednią łapą i wyrwał ogromną gałąź, stanowiącą podporę pewnego redzaju szałas, zapewne swego własnego przeszłorocznego, w którym i teraz leżał. Szalas pozbawiony podpory, a i tak trochę zburzony, zapadł się teraz nagle,

zasypując swemi szczątkami kudłatego mieszkańca. On otrząsnął się tylko i szedł ciężko na dwóch nogach, podnosząc w łapie gałąź, a raczej sporą drzewinę, aby nią ugodzić napastnika.

Ale rzecz dziwna, nie szedł on na Władka, ani na samego ojca Trzaskę... Młody strzelec zdziwiony spojrział w kierunku, w którym zamierzał się niedźwiedź, a potem na okół i osłupiał chłopiec z podziwu: Dokoła po za drzewami, stała spora gromada zbrojnych ludzi. Otaczali oni ściśniętym kołem tę małą miejscowość, na której znajdowali się Jan Trzaska z synem. Niedźwiedź, nie spostrzegłszy widać malca, szedł na silniejszego i widoczniejszego nieprzyjaciela, lecz zamiast uderzyć, upuścił tylko bezwładnie drzewinę i sam oparł się o dąb, podnosząc w górę obie pięści do śmiertelnej obrony... strzał Władzia był celny. Ale Władzio w tej chwili zapomniał o niedźwiedziu i lufa jego strzelby bezwiednie skierowała się ku innemu celowi, a celem tym były piersi człowieka obcego, który wystąpiwszy nagle z pomiędzy drzew i żołnierzy, wyciągnął rękę do Jana Trzaski, mówiąc:

— Janie Barski! w imieniu prawa, aresztuję cię!

— Władek! ani się waży! — zaledwo zdołał na czas wykrzyknąć ojciec, widząc poruszenie syna, w tych słowach było tyle grozy, że broń Władzia opadła sama z siebie prawie. Nikt nie uważał zresztą na niego: piętnastu czy więcej żołnierzy kępowało Jana Trzaskę, powalwszy go od pierwszej chwili na ziemię. Może gwałtownością napadu chcieli udaremnić obronę, bo wszystko to stało się w mgnieniu oka prawie, równocześnie z wymówieniem słów aresztującego oficera.

Gwałtowność niespodzianej napaści odjęła nieledwie przytomność chłopczynie. Mimowoli i mimowiedzy podobno przysunął on się tylko do ojca, pełznąc w gęstwinie pomiędzy żołnierzami, w jednej ręce trzymał nóż myśliwski i podnosił go, kierując w piersi temu, który pętał jego ojca, nachylony nad nim najbardziej. Ludzie ci byli tak zajęci schwytanym człowiekiem, że nie zważali jeszcze na chłopca w gęstwinie, wśród nich pełznącego, ale ojciec oka żeń nie spuszczał.

— Biegnij, uprzedź matkę! — szepnął, poczuwszy syna przy sobie. Słowa te odrazu oprzytomniły chłopca, który zrozumiawszy nagle, że od zawiadomienia matki i Stacha o niepojętym wypadku może zależeć ocalenie ojca, sunął jak goniony jelen przez puszcę ku domowi. Tego też tylko podobno chciał ojciec, odalając go od siebie, aby od niebezpieczeństwa usunąć. W istocie Władek już po dwa razy zamierzał w obronie ojca ugodzić napastników, a ojciec wiedział, że za

wielu ich było, aby obrona przydać się mogła. Mogła ona jedynie zgubić Władka, gdyby ujrzała, że godzi w żołnierza. Chłopaczek ruszył z miejsca na skrzydłach nadziei, a wtém zabrzmiał za nim głos ojca:

— Boże cię błogosław! Bądź matczyną podporą!

Władek wstrząsł się i o mało nie zawrócił ku ojcu, bo te wyrazy brzmiały jakby jego ostatnia wola, wola człowieka, dla którego nie było nadziei... Wezwawszy na pomoc Boga i rozumu, Władek gwałtem przewyciężył rozpacz, ciągnącą go ku ojcu i pędził wedle jego woli dalej, do domu. Kłody, trzęsawiska, przestrzeń sama nieledwie zdawały się nie istnieć dla niego w tej godzinie straszliwej.

— Matko! żołnierze ojca biorą! — krzyknął nieludzkim krzykiem i upadł na progu dworku u nóg matki. Ta skamieniała na jedną krótką chwilę, a potem błagalnym gestem wskazała Władka nadbiegającej pani Wandzie, sama jak stała rzuciła się biegiem szalonym w stronę, z której syn jej przybywał. I ona była przecież obeznana z knieją i słyszała jeszcze wczoraj, w którym miejscu wytropił Władek niedźwiedzia. I serce ją wiodło zapewne.

Pani Wanda podniosła Władka, ale nie mogąc wziąć na ręce tego chłopaka wyrostka, podłożyła mu tylko poduszkę pod głowę, ułożyła go wygodniej, i tak leżącego na progu dworku na Okrągłej łące cuciała. Chłopiec wyglądał, jak nieżywy. Bóg jeden wie, ile sińców strasznych i ran krwawych otrzymał od drzew i gałęzi, pędząc przez puszcę na oślep najkrótszą drogą, gdy sądził, że ocalenie ojca zależy od jego pośpiechu. Upadając w progu, uderzył znów głową o drzwi, i krew sączyła mu się z czoła obficie; cienka też purpurowa struga krwi, sącząca mu się z piersi, kazała się domyślać, że spotkał się może nawet z rogiem jakiego jelenka, lub skaleczył ciężko, padłszy na ostrą gałąź. Pani Wanda rozpięła mu sukmanę, rozdarła koszulę dla pośpiechu, i tamowała krew, obmywała, cuciała, drząc sama jak listek.

W obu dworkach nie było nikogo, prócz małej dziewczynki; inni poszli do codzienną roboty. Pani Wanda nie słyszała wcale krzyku, jakim Władek zawiadomił matkę o tém, co zaszło, a widząc go samego pędzącego takim rozpaczliwym biegiem i padającego u nóg matki, pomyślała tylko, że z Janem Trzaską stać się musiał okropny jakiś wypadek. Może się zabił w lesie, albo może syn sam ugodził go przypadkowym strzałem? Takie rzeczy trafiają się z bronią palną. Ta myśl

padła jak kamień na serce młodej kobiety, serdecznie kochającej swych sąsiadów-przyjaciół, i od tej to myśli zwłaszcza drżała tak bardzo pani Wanda, opatrując omdlonego chłopaczka, bardziej niż od widoku jego ran, bo z ranami mieszkanka puszczy znała się doskonale.

Dopiero gdy jedna z dziewcząt służebnych ukazała się, powracając z pola z płachtą pełną zielska, można było posłać ją po gospodarza Stacha, pracującego w głębi puszczy. Stach przybył natychmiast i zawiadomiony w krótkich słowach o wypadku, siadł na koń i pojechał pędem w głąb puszczy, gdzie wszyscy wiedzieli o polowaniu na niedźwiedzia. Na miejscu zastał tylko ubitego niedźwiedzia obok rozwalonego legowiska, ale zdeptana przestrzeń, połamane krzewy i przeróżne te tajemnicze znaki, jakimi puszcza umie przemawiać do swego mieszkańca, powiadomiły i Stacha, że w miejscu tém niedawno była spora ludzi gromadka. Młody Pac, kierując się ciągle owymi znakami puszczy, poszedł za śladami, które go wywiodły na równiejszą drogę, wtedy poznał nawet i edgadł, że ludźmi owymi byli żołnierze. To zrozumiawszy, nie patrząc już śladu, pomknął Stach, co koń mógł wyskoczyć, do najbliższego miasta.

(D. c. n.).

W albumie młodej panienki *).

Ci, co piszą dla panienki,
Zwykle papier zdobią różą,
Patrząc przez pryzmat jutrzeńki,
I same jej szczęście wróżą.

* * *
Chrześcina matka na odmianę
Powie ci, droga Marylko,
Że im nie wierz i że tylko
Co wycierpisz, to zyskane.

Deotyma.

Zwaliska zamku w Ciechanowie.

Starożytny ten zamek założony był przez Janusza, księcia Mazowieckiego; po podziale państwa za Leszka Białego miasto Ciechanów nad Łydnią należało do dzielnicy księcia Konrada Mazowieckiego i różnych smutnych doświadczało przygód. Prusacy z Litwinami burzyli je kilkukrotnie i licznych uprowadzali jeńców. Krzyżacy

*) Wiersz ten nigdzie dotychczas nie był drukowany.

także srogą mu zadali klęskę w r. 1465. Królowa Bona przebudowała zamek w Ciechanowie i mieszkała tam czas jakiś. Położenie zamku na niewielkiej kępie i usypaném ręką ludzką wzgórzem czyniło go bardzo obrotnym, prawie niedostępnym, z jednéj strony bowiem oblewa go rzeka Łydynia, z drugiejj sztuczny kanał, a poza rzeką ciągną się błota i trzęsawiska. Mury ścian zewnętrznych miały cztery łokcie grubości. Silna ta twierdza była jednak zniszczona po dwa razy przez Szwedów, raz w 1657, drugi raz za Augusta II-go i już się od téj pory nie podniosła. W r. 1646 nocowała na zamku w Ciechanowie Marya Ludwika Gonzaga, małżonka Władysława IV. Musiał on być już i wówczas zaniedbany i opuszczony, gdyż towarzyszący królowej Wielki Kanclerz Litewski nazwał w liście zamek ten „stolicą szczurów“.

Budowa wzniesiona była z cegły, na fundamentach z połowego kamienia, w kształcie regularnego kwadratu, którego każdy bok ma około 80 kroków. Dwie wieże sterczą dotąd na zwaliskach zamku w narożnikach ściany zwróconej na południe. Wschodnia była niegdyś więzieniem, zachodnia arsenałem. Do pierwszjej nie było przystępu z dołu, lecz z pierwszego piętra spuszczano winowajców na linach przez otwór aż na dno wieży, co się nazywało *ad fundum*. Druga zachodnia wieża, miała wejście od samego dołu, z kąd wschody w murze na górne piętra prowadziły. Obie opatrzone były u góry licznymi strzelnicami, wyłożonemi ciosowym kamieniem. Brama wjazdowa od strony miasta w południowej części zamku wykuta, prowadziła na dziedziniec, w którym niezbyt obszerne mieściły się zabudowania. Część mieszkalna zamku, z kaplicą Ś-go Stanisława, zajmowała stronę północną, miała jedno piętro.

Ciechanów należał do starostwa Opinogórskiego; w czasie zajęcia téj części kraju przez rząd pruski, starostwo zamienione było na ekonomią rządową, wszystkie mury wewnętrzne zamku rozebrano wówczas do reszty i wystawiono z nich browar w Opinogórze. Pozostały tylko mocno uszkodzone mury zewnętrzne i baszty narożne. Dziedzic teraźniejszy Ciechanowa troskliwie pielęgnuje te starożytnie szczątki.

GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANÉJ FALI.

przez M...a.

(Dokończenie).

Na ostanie słowa Zbigniewa porwał się Bolesław, ręce do nieba podniósł i rzekł:

— O Boże! brońże i nie dopuszczaj, aby brat

mój przeciw własnemu ojcu obcych naprowadzał na ojczyznę naszą!

— Tak — mówił Zbigniew — i mnie ta myśl sama przeraża, bo niestety! i ja nie mam dość siły umysłu i serca, aby to uczynić, a przecież byłby to sposób jedyny skończenia raz z Niemcami. I właściwie nie szedłbym przeciw ojcu, lecz jedynie przeciw Niemcom, u pas osiedlonym.

— Ach, nie czyn tego, dla miłości Bożej! — zawołał Bolesław — tegoż to właśnie czekają tyko Czechy i ziemczeni Szlązacy, aby niezgodę a zaburzenie jeszcze większe u nas rozniecić!

Dwaj książęta, umilkli nagle i badali się wzrokiem wzajemnie. Obaj pragnęli zgody z królem, ale jeden chciał jęj ukorzeniem się dopiąć, a drugi ukorzeniem ulubieńca królewskiego. Obaj się potrzebowali wzajem i dla tego jeden wyznaczył, a drugi przyjął tę schadzke tajemną. Ale mimo to obaj oni i siebie wzajem pewnemi nie byli. Zbigniew żał miał głęboki, choć mimowolny do Bolesława za to, że Władysław Herman pod wpływem zausznika pozwolił unieważnić małżeństwo swoje z matką Zbigniewa, szlachcianką Prawdycówną, aby poślubić Judytę Wratysławównę, księżniczkę czeską, następnie matkę Bolesława. Ale i ta druga żona króla umarła już dawno i król poślubił trzecią, Judytę, wdowę po królu węgierskim, a siostrę cesarza Henryka IV-go. Ucisk téj wspólnej teraz macochy, działającej wraz z Sieciechem, zmusił nareszcie obu książąt, mocno z sobą dotąd niezgodnych, do połączenia sił przeciw niemieckiemu stronnictwu, którego celem było obu ich pozbawić tronu i ojczyzny. Dwaj bracia rozmawiali z sobą długą chwilę jeszcze, poznając się teraz lepiej i poczuwszy, że mieli dotąd do siebie żał niesłuszny, podniecany przez wspólnych nieprzyjaciół. Wtém przeciągła nuta nawoływań flisackich rozbrzmiała i umilkła, drząc oddalonym echem. Bolesław żywo podniósł głowę:

— Przyjacieli idzie!... — rzekł — moi dają mi znak, i w istocie za chwilę uchylily się owe drzwiczki maleńkie i przepuściły dwie mniszki, jedną wiekową i poważną, drugą młodą i piękną.

— Siostra! — zawołał Zbigniew zdziwiony, rzucając się na powitanie młodej zakonnicy z taką radością i uszanowaniem zarazem, jakie w owych surowych czasach nie wszyscy bracia dla sióstr okazywali. Tém dziwniejszém to było, że zakonnica ta nie była nawet Zbigniewa, lecz Bolesława siostrą rodzoną. Ale podczas kiedy dwie jeszcze jęj siostry wyszły za mąż, jedna za księcia ruskiego, druga za Albrechta austriackiego, i w oddaleniu obcemi prawie stały się braciom, ta najmłodsza tak serdecznie zawsze od lat dziecinnych podzielała ich troski i jednoczyła obu

z ojcem, że stała im się prawie więcej niż siostrą, bo jakby opiekunką, jakby trochę matką.

Trzy biedne królewskie sieroty, zgromadzone tajemnie w nędznej kryjówce u stóp rodzinnego zamku, na którym panoszyli się ich nieprzyjaciele, popatrzyły ze łzami wzajem na siebie. Królowna została zakonnica dla tej jedynie przyczyny, aby pozostać bliżej ojca i braci, i widywać ich, na co pozwalały przepisy zgromadzenia, do którego należała, i aby godzić ojca z braćmi, o czém dobrze wiedziała i co pochwałała zwierzchność klasztoru. I dla tego też wolno było królownie i tu w tej kryjówce znaleźć się obecnie. Gdyby nie schroniła się była do klasztoru, królowa byłaby dawno wraz z Sieciechem wydalona na zawsze od rodziny, wydając za mąż daleko, jak to uczyniła z jej siostrami.

— I cóż? cóżecie postanowili? chwile drogie, mówcie krótko! — rzekła zakonnica, przemawiając do braci serdecznie, ale z powagą, do macierzyńskiej podobną, chociaż młodszą od nich była.

— Dotąd nic — odrzekł Zbigniew. — Jabyśmy chcieli, aby książę jechał ze mną do granicy szlązkiej, gdzie na jego widok drugie tyle stanie przy nas rycerstwa, ile przy mnie stoi.

— A jabyśmy chcieli — rzecze Bolesław — aby książę szedł ze mną natychmiast skrycie upaść do nóg królowi i przeto odrazu skończyć nieporozumienia.

— Tak, aby król uściskał mię i przebaczył szczerze, a królowa z wojewodą uwieźli mię zaraz za progiem królewskiej komnaty schwyciwszy... — rzekł Zbigniew.

— Tak, mam sprowadzać obcych na własny kraj, abym ich potem wyganiać musiał — rzekł Bolesław.

Królowna pomyślała chwilę i rzekła:

— Doszła mię wieść, że panowie oburzeni rządami wojewody i królowej, zbierają się zbrojnie stanąć przeciw uciskowi, prosząc aby król wojewodę od boku swego oddalił; idźcie połączyć się z tymi panami.

— Zawsze zgoda i dobra rada od ciebie przychodzi, siostrzo! — odpowiedzieli książęta

Następnego dnia głuchy gniew i trwoga skryta opanowały dwór królewski na plockim zamku, gdy nadeszły wieści, że Zbigniew ów zbiegł i Bolesław, dotąd dość uległy jeszcze, znajdują się razem i w bratniej zgodzie w obozie szlachty. Szlachta ta, zebrawszy się zbrojnie, poselstwo wysłała do króla z prośbą, aby oddalił od siebie możnowładcę Sieciecha, przeciw któremu zmuszoną jest się uzbroić. Małeńki potworek, zaufana karlica królowej, biegła natychmiast do wojewody Sieciecha. Skrycie i cicho, jak mysz, sunęła poza

makatami, pod sprzętami nieledwie, aby od niepotrzebnych ócz widziana nie być. Wpadłszy do jego komnat, w tymże zamku będących, do kolan dumnego wojewody dobiegła, których wzrostem nie dosięgała, i obejrzawszy się w około, czy świadków niema... szeptała, machając gwałtownie małemi ale weale niekształtnemi rączynami:

— W żart! w żart to obrócić! Natychmiast niech król jedzie do dzieci swych ukochanych, szlachty i synów, niech ich wszystkich ściska i całuje, co się zmieści! Niech przyrzecze wszystko, co chcą, a najprzód ciebie wygnąć, wojewodo! byle tylko szlachta rozjechała się coperędź! Jak się tylko rozjadą, pochwytny najwinniejszych, i zrobimy co zechcemy, tylko nie przeciągać położenia teraz, bo strach! ..

To powiedziawszy, uciekła jak przyszła karlica, a wojewoda pośpieszył do króla, zrozpaczonego groźbami dzieci i szlachty. Sieciech zręcznie wyśmiał groźby, zaręczając, że cały ten szlachecki związek upadłby do nóg królowi i rozplakał się z rozczulenia, gdyby król z otwartymi ramionami i ze łzami w oczach ukazał się nagle w pośród tych buntowników.

— A więc pojedę do nich z otwartymi ramionami! podajesz mi dobrą radę, jak zawsze — zawołał król pocziwy, a słabego charakteru; oczy miał już pełne najszczerzych łez rozczulenia. Stęskniony do Zbigniewa, przerażony, aby Bolesław nie poszedł w jego ślady, mimo wieku i ociężałości chorobliwej, natychmiast wykonał radę, chytrze mu podsuniętą; pojechał z otwartymi ramionami i łzami w oczach do szlacheckiego obozu. Oboz ten stał tuż pod Płokiem, nad wiślaną falą. Stało się wszystko, jak przepowiedziała i jak chciała chytrność niemiecka, znająca dobrze pocziwe serca narodu i króla.

Króla przyjęto w obozie tym groźnym i zbrojnym, jak zbawcę. Ściskano się, płakano, całowano i śmiano z wielkiej radości, król z synami i z innymi tymi buntownikami. Wszyscy byli wzajem stęsknieni do zgody i chwycili jej się z rozkoszą, gdy tylko na chwilę niemieckiego jątrzenia między nimi zabrakło.

Kilka dni przeszło na rycerskich zabawach, w których i dwaj królewicze dzielnie się popisowali przed oczyma szczęśliwego ojca. Potem następowały proste a obfite bratnie uczty, na które pieczono całe woły i barany na wielkich stosach nad Wisłą, popijano miód lub wiślaną wodę. Król był szczęśliwy dawno zapomnianem szczęściem, miał swobodną od poduszczań głowę, spokojny sen. W buntowniczym obozie przyjmowano go tak, jak dzieci przyjmują ukochanego ojca, przybywającego w odwiedzinę. Tymczasem Sieciech

miał czas zebrać swoich popleczników i niby dumny pan, obrażony na panów braci, stanął przeciw nim także obozem.

— A to co znaczy? — zapytał król zdumiony. Wytlómaczono mu, że wszystko będzie dobrze i zgodnie tak, jak przez te dni kilka było, byle król dobry odsunął od boku swego i od urzędów pysznego, dokuczliwego wojewodę. Król okrutnie się zmartwił tém mianowicie, że znów sporami zakłócają mu ludzkie głowę i coprędzej dla miłego spokoju przystał na wszystko. Z takim postanowieniem cały oboz uszczęśliwiony wraz z królem udał się dnia tego na spoczynek.

Ale nazajutrz gwałt się stał okrutny, zdumienie i wstyd nawet szlachtę ogarnął, gdy pustą zastano królewską sypialnię. Oboz nie był przecież tak znów strzeżony, jakby wśród wrogów, otóż, pokazało się, że w nocy dwóch dworzan przybyło do króla z zapytaniem o zdrowie od królowej. Przez uszanowanie dla królewskiego majestatu, nie broniono im dostępu, tém bardziej, że pewni wszyscy byli królewskiego słowa. A tymczasem jednym z tych dworzan był przebrany Sieciech. Nie mogąc doczekać aby się szlachta rozjechała, a czując się już na siłach, wsunął on się do obozu, dostał do króla i wszystko w umyśle królewskim odwrócił, co synowie i szlachta nakręcili na swoją stronę. Dwaj dworzanie, jak weszli, tak wyszli spokojnie wśród nocy z obozu królewiczów i szlachty, z tą tylko różnicą, że jednym z tych dworzan był teraz sam król. Sieciech przyrzekł królowi, że wszystko będzie zgodnie i dobrze, byle tylko wrócił do niespokojnej o zdrowie jego królowej, a nie uzuchwalał szlachty i tak zuchwałej, przystając na jej żądania, i król, dobry a słaby, uciekł z obozu synów do Sieciecha, dla miłego spokoju, aby mu nie suszono głowy. Dwaj bracia królewicze, spotkawszy się z sobą tego poranku, łązy mieli w oczach obydwa.

— A co? — starszy zapytał — gdzie źródło złego?...

— Prawda! — młodszy odszepnął — i zgoda nie pomoże, gdy wytrwałej woli brak.

— A nie wiemy osłabionego wiekiem pocziwego ojca — rzekł starszy wzdychając — bo to jest wspólna narodowa wada, od której i my dwaj nie jesteśmy wolni; na wspólną sprawę, na dobro narodu, jęczącego pod rządem Sieciecha, na dobro ojca naszego zaklinam cię, wytrwajże ty teraz przy mnie wraz ze szlachtą! Pamiętaj, że nie przeciw ojcu, ale przeciw niemieckim knowaniom stajemy!

Zbigniew wiedział co mówił, i znał dobrze narodowy charakter. Szczęściem na ten raz nie sprawdziły się jego obawy, najprzód dla tego, że on

sam wytrwały był, niż sam sądził, gdyż w przesładowaniu zahartowany, a potem, przebrała się już miarka sieciechowych nadużyć. Ogół narodu był tak oburzony przeciw zuchwałemu wojewodzie, że wytrwał przeciw zgodnie i stanowczo przy synach królewskich. To też bez żadnych zajęć krwawych wojewoda musiał nareszcie ustąpić. Królowa, straciwszy sprzymierzeńca, stała się mniej niebezpieczną, a przytém straciła też wszelkie siły i odwagę do knowań, a to ze zgrzyoty, ujrawszy knowania swe odkryte i zgodę w rodzinie męża, i zwycięstwo znieawidzonego szczególniej przez nią królewicza Zbigniewa. Stało się z nią tak, jakby z tygrysią, którejby wyrwano zęby i szpony.

Od owego czasu król Władysław Herman żył w ulubionym spokoju i w świętej zgodzie z synami, przy tklivej opiece córki, która zdaleka, jak anioł z nieba, czuwała nad tą zgodą. Król był niewymównie zadowolony z obrotu rzeczy. Dzięki on synom nieraz serdecznie, że silnym wystąpieniem zapewnili spokój jemu i narodowi, i z siel niemieckich go wyrwali. Umarł r. 1102, pochowany w Płocku, gdzie mieszkać lubił. Tak to zbieg okoliczności stawia czasem w trudnym położeniu ludzi, jak postawił Zbigniewa i Bolesława przeciw własnemu ojcu na pozor, a jednak przy wytrwałej, silnej woli i prawdziwej dla ojca i narodu miłości, wyszli oni i z tego położenia zwycięzko, i z należnemi dla ojca względami.

HISTORIA O TRZECH OLBRZYMACH,

przez

Ludwika Niemojewskiego.

Przeszłego roku byłem zaproszony na wieś w Kaliskie, do pewnych znajomych mi państwa, którzy mieli czworo dzieci, trzy córeczki, Wandzię, Zosię i Marynię, jako też starszego syna Mieczysława, który tylko co dostał promocyą w jednym z gimnazyów warszawskich.

Możecie więc łatwo wystawić sobie, co tam się na wsi działo! wycieczki do lasu na jagody i na grzyby, przejażdżki na łąki, gdzie kosarze siekli trawę, którą potem, gdy wyschła, układali w stogi, ażeby woły, owce i konie, miały co jeść wśród zimowej pory.

Po dwóch tygodniach jednak stałej pogody, niebo zmieniło się od samego rana, a deszcz drobny, rzęśisty, ale ciągły i jednostajny, spływał z ciemnych chmur strumieniami.

Mieczys posmutniał, Zosia i Mania straciły zwykłą wesołość, a Wandzia nastroiła skrzywioną minkę.

— Jakie nieszczęście! — rzekła — wszystko za nic! Już nie pójdziemy ani do lasu, ani na łąki, trzeba będzie siedzieć w pokoju i patrzeć na deszcz padający.

— Moja Wandziu, nie należy nazywać nieszczęściem tego, co pomaga do wzrostu plonów na po-

— Prawda!

— A przecież to wakacje!

— Pora zabaw...

— Powoli, powoli, nie bierzcie rzeczy tak bardzo do serca. Przedewszystkiem, jak już wam



Zwaliska zamku w Ciechanowie (str. 517).

lu. Mielśmy ciąglą suszę, żyto, pszenica i owies już wykłoszone żółkły przedwcześnie, zeschnęła ziemia potrzebuje gwałtownie wilgoci, deszcz więc dzisiejszy jest błogosławieństwem dla rolnika.

— To jednakże nie przeszkadza, że my z domu wyjść nie możemy.

poprzednio mówiłem, chwilowa przeciwność nie jest znowu tak wielkiem strapieniem; powtóre bez wychodzenia nawet na dwór można znaleźć, gdy kto chce, odpowiednią rozrywkę.

— Kiedy tak, to już wiem co robić; grajmy w ślepą babkę! — zawołała Wandzia.

— Nie lubię tój gry — rzecze Zosia — zanadto dziecinna; lepij w warcaby.

— W warcaby, to też koncept! — odezwie się Mania — dwoje sładzie za stolikiem, a inni tylko patrzeć będą; piękna mi zabawa! Kiedy już ma co być, to możemy zagrać w pana pastora.

— Wymyśliłaś bo wymyśliłaś, siostruniu, co się zowie! — przerwie Mieczys. — Jak to wesoło ciągle jedno w kółko powtarzać: Co mówisz? Gdzieś była? U szewca. Co mówisz? Gdzieś była? U szwaczki; doprawdy wolałbym...

— Zioła zbierać...

— Zasuszać je w kajecie.

— I podpisywać po łacinie, jak się nazywają.

— Zapewne — zakończy poważnie gimnazysta — bo z tego jest przynajmniej korzyść, a bieganie i gadanie na co się komu przydadzą, pytam?

— Dobrze ci tak mówić, kiedy jesteś aż w czwartej klasie, i my, jak podrośniemy, będziemy robiły to samo, ale dziś jeszcze dla nas zawczasie na podobne zabawy.

Wmieszalem się do rozmowy.

— Nie dziwię się wam, moje dzieci, że każde z was chce użyć rozrywki odpowiedniej do swego wieku: Wandzia pragnie ślepěj babki, Zosię i Manię to już nie bawi, a Mieczysław chciałby zająć się czém pożyteczniejszém. Trzeba więc urządzić coś takiego, ażeby wszyscy byli zadowoleni.

— Ale co?

— Co takiego?

— Mów pan...

— Postanówcie sami, a ja zastosuję się do waszych życzeń.

Po krótkim namyśle, Mieczys rzekł:

— Jeżeli łaska, to proszę opowiedzieć nam jaką zajmującą historiją.

— O tak! tak! — zawołały dwie starsze dziewczynki.

— Ale tylko żeby nie było morału na końcu, bo to takie nudne! — doda Wandzia.

— Ale jakaż ty dziecinna! — przerwie Mania — pan gotów się zniechęcić takiém odezwaniem i nic nie powiedzieć.

— Nie, ja wiem, że Wandzia to wyrzekła przez roztrzępanie. Nauka moralna powinna się mieścić w każdej powieści, bo inaczej cóżby za cel był w opowiadaniu? Ale nie obawiajcie się, moje dziatki, już ja tę moralną naukę tak umieścę, że się nie spostrzeżecie, jakim sposobem się tam znalazła.

— Kiedy pan taki dobry, to jeszcze o jedną rzecz poproszę.

— O co takiego?

— O to, żeby pan nam opowiedział o jakich

strachach, smokach lub olbrzymach, bo ja takie rzeczy bardzo lubię.

— Wandziu, znouu zaczynasz...

— Nic nie szkodzi, że śmiało objawia swoje życzenia, choćby nawet niedorzeczne; to dowodzi, że ma do mnie zaufanie. Wandziu — dodałem, głaszcząc jasne włosy dziewczynki — byłaś dziś grzeczną, posłuszną mamie, nie natrętną, zrobię więc to, o co prosisz i opowiem wam zajmującą historiją o trzech olbrzymach.

— Ach! jakie to będzie ciekawe! — zawołały dzieci, klaszcząc w dłonie.

I wszystko czworo obsiadło mnie dokoła, ja zaś zacząłem swoje opowiadanie w ten sposób:

— W pewnym miasteczku mieszkał przed laty cieśla, mający żonę i siedmioro dzieci. Jakie nosił nazwisko, nie pamiętam, ale ponieważ jego chrzestne imię było Tomasz, a bieda strasznie mu dokuczała, wszyscy nazywali go „biednym Tomaszkiem“. Nie możecie sobie wystawić, co za smutne życie wiódł ten nieszczęśliwy człowiek. Każdego dnia od samego rana biegał szukać roboty, a jeżeli czasami takową znalazł, to mu płacono za nią bardzo mało, domy tam bowiem były po większej części murowane, cieśli nie brakło, a towarzysze jego posiadali łatwość wymowy, gdy on, nie umiejąc się nikomu narzucać, pozostawał zawsze zapomniaany. Wszystko to byłoby jeszcze niczém, gdyby nie żona i dziatki. Samemu łatwo można sobie dać radę w niedoli, ale mając liczną rodzinę, często aż się chce płakać, gdy zabraknie chleba w domu.

Raz, niemogąc nigdzie znaleźć zajęcia, usiadł on na rogu ulicy i opuścił ze smutkiem głowę na rękę. Myślał sobie: co ja dalej pocznę, jak sobie postąpię, aby zapewnić byt moim najdroższym? Teraz, póki jeszcze dzieci zdrowe i żona trzyma się na nogach, to chociaż chłodno i głodno w izbie, można żyć jako tako, ale nuż Bóg dopuści na nich chorobę, zkad wezmę pieniędzy na lekarstwa, doktora i inne potrzeby?

Dumał tak długo, długo, nie widząc żadnego sposobu wyjścia z przykrego położenia, gdy jakiś nieznamy człowiek, przechodzący w tój chwili ulicą, zatrzymał się przed nim.

— Czegoż waćpan taki markotny? — zapytał.

— Albo to nie ma powodu być smutnym, kiedy mi się nie udaje?... — odpowiedział, westchnąwszy głęboko.

— Na każdą biedę jest sposób, trzeba tylko umieć go znaleźć — zakończył przechodzień, wydobywszy z zanadru krótką fajkę, którą zapalił.

— Sposób, jaki sposób? od kilku lat szukam go napróżno.

— Bo waćpan nie umiesz szukać. Proszę mi tylko powiedzieć, o co chodzi, a może poradzę.

Biedny Tomaszek, zachęcony tém wezwaniem, opowiedział mu swoją historią.

— Ha! ha! ha! taka drobnostka... i o to się kłopotać! — zaśmiał się nieznajomy, wzruszywszy ramionami. Słuchaj mnie tylko uważnie: nie masz co jeść, żona i dzieci twoje głodne, a dla czego? bo ci brakuje roboty. Jakiż znowu powód, że tak trudno o zajęcie? Bo w waszóm miasteczku stawiają domy murowane, na oparkanie zaś ich jako też zrobienie futryn do drzwi i okien posiadacie trzy razy tyle cieśli, ile potrzeba. Należy więc udać się w takie miejsca, gdzie rzemieślników mało, a chleba dużo.

Słyszając te słowa, biedaczysko podrapał się w głowę.

— Mówić łatwo, a zrobić trudniej — rzekł. — Naprzód w całym naszym kraju to samo się dzieje, co u nas: rąk do roboty jest dużo a wyżywienia dla tylu gęb niewystarczy. Jeśliby zaś znalazł się jaki daleki kąć, w którymby było inaczej, to jakże się do niego dostać bez pieniędzy?

— O to się nie frasujcie, mój dobry człowieku, ja wam dostarczę funduszków na drogę; już wielu tutejszych mieszkańców, choć nie tak biednych, jak wy, zgodziło się jechać ze mną. Zawiozę was na drugą stronę morza, do Ameryki; tam ludzi niewiele, gruntów co kto chce, a dla rzemieślników prawdziwy raj; wszystkiego do syta, tylko się schylić i zbierać.

I rozpowiadał długo, opisując szczęście, jakie czeka każdego, kto tylko zechce powierzyć mu swój los i przyszłość rodziny.

Biedny Tomaszek słuchał tego wszystkiego z niezmierném zajęciem, a oczy aż mu błyszczały radością i nadzieją, gdy pomyślał o wszystkich skarbach, jakie znaleźć można w tej obiecanej ziemi.

Umówiwszy się z nieznajomym o miejsce schadzki, pobiegł do wskazanych sobie towarzyszków, ażeby powziąć od nich bliższe szczegóły. Wszystkich zastał gotowych do podróży.

To go jeszcze więcej utwierdziło w powziętém postanowieniu. Nie namyślając się więc dłużej, wziął od swojego nowego opiekuna zadatek, podpisał umowę i zakupiwszy cały koszt zapasów żywności, wrócił do zamieszkałej przez swoją rodzinę izdebki, wskazując wesoło:

— Oto dla was posiłek, macie, jedzcie! Już teraz nigdy nędza wam nie dokuczy, pojedziemy za morze, do Ameryki, i będziemy tam opływali w dostatki.

Znękana cierpieniem kobiecina, nie mająca przytém najmniejszego wyobrażenia, jaka to dale-

ka jest droga udać się na drugą półkulę ziemi, zrozumiała tylko z wyrzeczonych słów, że już nastał koniec wszystkim troskom tyle dotąd smutnego życia, i uśmiechnięta wyciągnęła z wdzięcznością rękę do męża.

Dzieci na widok jadła skakały klaszcząc radośnie w dłonie, wszyscy byli szczęśliwi.

— Gdy się to działo w chatce cieśli, nieznajomy także zacierał ręce z zadowoleniem.

— Dali się złapać! — mówił do siebie — wyborny interes, zarobię grube pieniądze.

Bo trzeba wam wiedzieć, że ten, tak na pozor czuły na cierpienia ludzkie dobroczyńca, był po prostu niegodziwym spekulantem, który z krzywdy ludzkiej umiał wyciągnąć niepomierne zyski.

Niemiec ów, bo taką była jego narodowość, jeździł od wsi do wsi, z miasta do miasta, namawiając biedaków, cierpiących głód i niedolę, ażeby porzuciwszy ojczyznę udali się w obce, nieznanne im strony, w celu poprawienia sobie losu; obiecywał im złote góry, chociaż nie miał zamiaru niczego dotrzymać, oni zaś tyle już złego w swém życiu doświadczyli, iż każdą zmianę uważali za pożądaną. — Stanie się, co Bóg da, aby tylko było inaczej, jak dotąd — odpowiadali tym, którzy zwracali uwagę zaślepionych, że opuszczenie rodzinnego kraju, znajomych, życzliwych i przyjaciół, w celu szukania niepewnego szczęścia gdzieś na końcu świata, jest rzeczą co najmniej niebezpieczną, a w każdym razie bardzo nierozsądną.

W parę tygodni po spotkaniu biednego Tomaszka z nieznajomym, rodzina jego wraz z kilkudziesięciu innymi rodzinami, które także zapragnęły szukać chleba za Oceanem, ruszyła w podróż.

Nie będę wam opisywał wszystkiego, co w cierpieli w czasie owej przeprawy, powiem tylko, że jeżeli zdolacie sobie wystawić najgorsze położenie człowieka, to je bez porównania lepszym nazwać można od ich smutnej doli. Drogę kolejną żelazną do Hamburga, pomimo wszelkiego rodzaju niewygód, nazwę jeszcze znośną w porównaniu z tém, co się działo na morzu. W dość szczupłym stosunkowo wnętrzu okrętu pomieszczono przeszło tysiąc różnego wieku, stanu i narodowości osób; wszyscy oni leżeli pokotem, nie mając dość miejsca, ażeby wyciągnąć rozbolale członki; brakowało im przestrzeni, powietrza, światła, a pożywienie, jakie dostawali, było złe i niedostateczne do zaspokojenia głodu. Nikt nie zważał na ich skargi, ani też odpowiadał na zażalenia; trzeba było cierpieć w milczeniu, lub też biadać po cichu nad swoją niedolą.

TYDZIEŃ W WENECYI.

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

IV.

Ze wszystkich kościołów najpierw zwiedziłam kościół Św. Marka, tworzy on jedną ze ścian placu Św. Marka. Bazylika ta została zbudowana na cześć patrona miasta, którego relikwie były z Aleksandryi do Wenecyi przeniesione w r. 828. Jest zbudowana w stylu romano-byzantyńskim. Wszędzie przebija się smak wschodni. Kościół sam ma kształt krzyża greckiego, na którym pięć kopuł się wznosi, z tych największa pośrodku. Całe wnętrze kościoła jest mozaikowe, mieści pięćset kolumn z marmuru; mozaiki te są z X, XII i XVI wieku. W żadnym innym kościele nie spotyka się tyle złocień, mozaik i bronzów, jak tu; bardzo wiele obrazów, z tekstu starego testamentu wyjętych, zdobi arkady i ściany. Co jest najosobliwszém, że wszystkie te obrazy są mozaikowe. Na prawo pod pierwszą kopułą widać: Stworzenie świata, Upadek pierwszych ludzi, dalej, Potop, pod drugą kopułą Św. Marek podług rysunku Tycyana, Noe i budowanie wieży Babel, historia Abrahama, sen Józefa, Józef przez braci sprzedany, rozpacz Jakóba, Józef w Egipcie, historia Mojżesza. Godny uwagi jest zaprząg czterech koni z brązu, arcydzieło rzymskie z czasów Nerona, jedyny zaprząg starożytny czterokonny, który się po dziś dzień przechował; był on najprzód zabrany przez Konstantyna do Konstantynopola. Dandolo zwrócił go Wenecyi w r. 1204. Bonaparte zabrał go znów do Paryża w r. 1797. Cesarz Franciszek powrócił go ostatecznie Wenecyi w r. 1815.

Podłoga jest mozaikowa z XII wieku, w niektórych miejscach cokolwiek uszkodzona. Znajdują się tu dwa piękne kandelabry z brązu z XVI wieku i płaskorzeźba Sansowina, przedstawiająca kilka scen z życia Św. Marka. W głównym ołtarzu złożone jest ciało Św. Marka, opodal cztery kolumny alabastrowe, jakoby pochodzące ze świątyni Salomona. W zakrystyi znajdują się portrety: Sansowina, Tycyana, Pawła z Werony, grób doży Dandola i sarkofag marmurowy Manina, prezydenta Rzeczypospolitej weneckiej z r. 1848, który zmarł w Paryżu. Znajdują się także w tym kościele na murze stare bizantyjskie płaskorzeźby, przewiezione ze Wschodu przez Wenecyan.

Z kościoła przeszliśmy na wieżę Św. Marka, ma 98 metrów wysokości, ale tak się na nią wy-

godnie wstępuje, że nie doznałyśmy najmniejszego zmęczenia. Weszliśmy na sam szczyt, skąd się nam śliczny widok na całą Wenecję, na Alpy i na morze Adryatyckie przedstawił. Później udałyśmy się do starożytnej biblioteki, która jest jedną z najpiękniejszych budowli z XVI wieku, została rozpoczęta przez Sansowina w r. 1536.

Na placu Św. Marka, od strony lagun, wznoszą się dwie wysokie kolumny z granitu; na jednej jest umieszczony lew skrzydlaty Św. Marka, przeniesiony z Syrii w r. 1120, a wzniesiono go na tym placu w r. 1180, na drugiej dawny patron Wenecyi, Św. Teodor, na krokodylu siedzący; posąg ten pochodzi z r. 1329. Tu wymierzano niegdyś karę śmierci, dziś w tym miejscu jest główny przystanek gondolierów.

Trudno wyrazić, jak sprzeczne uczucia wywołuje budowla pałacu dożów. Piękność architektury, bogactwo, smak estetyczny, wysoko rozwinięty, zachwycają, a mimowoli też zbytek, nad którym miliony rąk pracowało, by oteńczyć malkutką garstkę wybranych ludzi podobnym przepychem, wzbudza dziwnie niemiłe wrażenie! Pałac dożów, w stylu gotycko-wschodnim, pięć razy był już niszczone i za każdą razą z coraz to większym przepychem odbudowany. Rozpoczął budowlę pałacu Filip Calendario; cały ten pałac otoczony jest na wschód i południe galeryą, wzniesioną na 107 marmurowych kolumnach. Górna galerya, „loggia“ zwana, odznacza się bogatą architekturą i zawiera dwie kolumny z czarnego marmuru, skąd za czasów Rzeczypospolitej wygłaszano wyrok śmierci. Koło portyku wznoszą się posągi: Numy Pompiliusza, Scypiona i Trojana.

Schody olbrzymów (scala dei Giganti) noszą swą nazwę od dwóch ogromnych posągów, Marsa i Neptuna, roboty Sansowina, z r. 1554, w tym miejscu odbywał się cały ceremoniał koronacji dożów. Gdyby nie straszny pożar w r. 1577, który zniszczył mnóstwo prac mistrzów weneckich, w epoce jej największego rozkwitu. Mistrzowie XV i XVI wieku poświęcili niemal całą pracę swoją na przyozdobienie kościoła Św. Marka, pracowali także nad pałacem dożów, ale ich arcydzieła zostały zniszczone.

Ten pałac posiada obecnie obrazy Tintoreta, Palmy młodszego i Pawła z Werony, w ogóle prace mistrzów z XVI i XVII wieku. Zwiedziliśmy sale, gdzie się odbywały Rada dzieiesięciu i Rada trzech, kilka salonów pysznie urządzonych. Sufity są najczęściej pędzla któregoś z mistrzów weneckich. Ściany rzeźbione z drzewa i brązu wspaniale wyglądają. Wszystko do dziś dnia jest w takim porządku, jakby dotąd pałac zamieszka-

ły był przez kóregoś z dożów. Sypialne pokoje pięknie urządzone, toalety pań, nawet zabawki dziecinne porzucane w pewnym nieładzie, który dziwne sprawia złudzenie i zdaje się, że lada chwila usłyszysz się gwar i głosy dziecięce.

Zeszliśmy wkońcu do biblioteki zawierającej wiele bardzo ciekawych rękopisów, a także długi szereg portretów wszystkich dożów, a gdzieś — gdzie smutnie wyglądają czarne, puste miejsca w złożonych ramach, przywołując na pamięć potomnym brzydkie czyny i zdradę, którą przedstawiciele narodu nieraz się splamili.

Galeryja obrazów mieści wiele bardzo pięknych malowideł; trzebaby posiadać głęboką znajomość sztuki, aby o nich zdanie wypowiadać; mogę więc tylko wspomnieć, że utwory Tycyana najsilniej działały na moją wyobraźnię. Gdybym była miała więcej czasu, z rozkoszą bym się wpatrywała godzinami w te arcydzieła, które tak wielkie wywierają wrażenie.

Po tém miłém upojeniu, jakiego się doznaje, wnikając w ducha arcydzieł mistrzów, sprowadzono nas do smutnych miejsc niedoli ludzkiej; były to więzienia. Tu dziwne przygnębienie opamiętuje każdego, oprócz widma mąk, śmierci i zgryzot, żadna inna myśl nie płynie do duszy. Wchodziliśmy do tych smutnych mieszkań przez długi, wązki korytarzyk, który nam pochodniami oświecano. Kazałam się sprowadzić do więzienia Marina Faliera. Okropne ono sprawia wrażenie, szczególnie gdy zamknięto drzwi, a przez małą szczelinę puszczono promień światła. Przy takiem to oświeceniu odbywał Marino Faliero swą ostatnią spowiedź, a naprzeciw téj szczeliny w ścianie był umieszczony krucyfiks.

Przeszliśmy potem na sławny „most Westchnień“, tam przewożono tych nieszczęśliwych, dla których wyrok śmierci był już nieodwołalnym. Wyruszyliśmy dalej gondolą by zwiedzić resztę kościołów.

(d. n.).

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

Dalszy ciąg.

Dążąc już w tym nowym kierunku, spostrzegli nad głowami wysoko krążące gromady sępów, a na płaszczyźnie tłumy hyen i szakali. Taka schadzka drapieżników, żywiących się padliną, zdziwiła podróżnych. Idąc dalej, ujrzeli mnóstwo antylop nieżywych, leżących przy sobie. Im dalej szli, tém bardziej zwiększała się ilość tych trupów.

Stawało się to nareszcie prawie przerażającym. Zdawało się, jakby weszli w dolinę śmierci bez wyjścia. Tajemnicę tę wytłómaczyli im Makalolosy i Kongo: antylopy piły wodę zatrutą przez krajowców w jakimś jezioru lub źródle; co dowodziło, że znajdowano się w sąsiedztwie jednego z poleń Beczuanów.

Myśliwi już słyszeli o tym okropnym zwyczaju, powszechnym wśród wielu afrykańskich ludów, ale teraz dopiero przekonali się, że w powieściach tych o straszném wyniszczaniu zwierząt nie było przesady. Na przestrzeni jednej tylko mili narałowali dwieście antylop nieżywych. Jedno z bagnistych jezior, przy których spoczywali, musiało być zatrute.

— Co za szczęście — rzekł William — że nie obozowaliśmy właśnie przy téj zatrutej jamie; bylibyśmy w téj chwili pastwą hyen i szakali tak, jak te biedne antylopy. Kongo inaczej sądził. Utrzymał on, że człowiek nigdyby takiej ilości wody nie wypił, aby się nią otruli, ale gdyby konie i woły piły, potrułyby się niezawodnie, co do jednego. Co prędzej zatem przyspieszano kroku, aby jak najprędzej wyjść z owego królestwa śmierci.

Dowiedziawszy się o bliskości Beczuanów, Makalolosy zaczęli trwożyć się o konie i woły, które ich zdaniem mogły być teraz skradzione lub pomordowane. Myśliwym zdawało się przecie, że taki strach jeszcze zanadto jest dla Beczuanów zaszczytnym, gdyż z opowiadań uważali ich za nędznych tchórzów, którzyby się do gwałtów posunąć nie śmieli.

Nazajutrz Arend, jadący na czele, zawołał wstrzymując wierzchowca:

— Oto kraal i pole z kukurydzą. Henryk przyglądał się także téj osadzie, a William patrzył już na przedmiot bardziej dlań zajmujący od wioski i pola: Dwa ogromne słonie zbliżały się równiną w kierunku pola kukurydzowego.

— Podstępmy cicho — rzekł zapalony myśliwiec — nie potrzebujemy iść wszyscy; trzech wystarczy; niech inni zostaną przy zwierzętach naszych.

Tak mówiąc ruszył naprzód, Henryk i Arend szli za nim. Hans, jak zawsze, widząc, że jest skazanym na pełnienie obowiązków tylnéj straży, zgodził się na to chętnie. Z pomocą Konga, Facetana i Makalolosów zatrzymał konie i woły i pozostał widzem. Zdawało się, że nic nie przeszkodzi myśliwym nacieszyć się pyszném polowaniem, bo słoń ranny nie zwykł uciekać. Jeden słoń powinien był paść a może i oba.

— Gdyby nie my — rzekł William do Henryka, jadąc obok — słonie te zniszczyłyby pole ku-

kurydzy. Właściciele pola nie mogliby go obronić, choćby chcieli; nie umieją ich nawet od niego odstraszyć.

Młody boer mówił nierozważnie, o czém miał się niezadługo przekonać.

XLIII.

Zwycięstwo uczonego.

Dwa słonie szły wąską drożyną, wiodącą do pola i wioski. Stąpały bez pośpiechu, jakby pewne, że uczta, na którą się wybrały, nie mogła ich ominąć.

— Niechno wejda między zboże, a będą nasze — rzekł Henryk — nie dostrzegą nas, a my będziemy mogli wziąć na cel wygodnie.

W tém nagle jeden słoń, ten, który szedł na przód, znikł, jakby się w ziemię zapadł.

Drugi stanął, jakby usiłował wyrozumieć zniknięcie towarzysza, i nagle zawracając się, odszedł w stronę, z której był przyszedł i to stąpając z wielką ostrożnością.

— Dół! — wykrzyknął Henryk. — Jeden słoń wpadł w dół.

— Śpieszmy! śpieszmy! zabijemy drugiego! — zachuczał William, wypuszczając konia galopem. Henryk i Arend uczynili toż samo. Słoń nie uciekał, szedł poważnie. Ale zbliżywszy się na sto metrów, z donośnym okrzykiem do odgłosu trąby podobnym, rzucił się na myśliwych.

Byli w pogotowiu. William dał ognia, dwaj drudzy strzelili także i natychmiast Henryk i Arend skoczyli w lewo, William w prawo a olbrzymi zwierz przebiegł pomiędzy nimi. Zatrzymawszy się w rozpędzie, zdawał się namyślać na kogo uderzyć. Gdyby nie to, że się rozskoczyli, nie byłby się namyślał. Chwila jego namysłu pozwoliła myśliwym powziąć plan i porozumieć się:

— Do dołu! do dołu! Co koń wyskoczy, do dołu! — zakrzyczał Henryk. Rozkaz ten wykonano natychmiast. Widząc kicrunek uciekających, słoń zawrócił się i począł ich ścigać, niezbyt gwałtownie przecież, tak, jakby się wahał..

W téj chwili rozległ się przeciągły jęk, właściwy konającym słoniom, pochodził z owéj jamy, pułapki na słonie. Olbrzymi zwierz stanął w miejscu. krzyk boleśny towarzysza rozbudził w nim już nie zemstę ale przestrah.

Strach ten musiał nagle podbudzić siłę jego rozumowania, bo znowu, zawracając na miejscu, począł uchodzić, unikając nieszczęścia, w jakie popadł towarzysz. Uchodząc starannie, szedł po śladach koni; zapewne instynkt go uczył, że w ten sposób uniknie zasadzki, któraby mogła być gdzie przygotowaną na równinie.

— Gońmy go! Hans jest w niebezpieczeństwie! — krzyknął Arend. Nawiwszy co prędzej broń, wszyscy trzej, co koń wyskoczy, śpinając konie ostrogami, popędzili za słoniem. Hans i jego czarni pomocnicy, nie spuszczać oka z myśliwych i ze ściganego zwierzęcia, zrozumieli także, iż powołani będą do odegrania czynnej roli w odbywającym się dramacie.

Słoń zbliżał się ku nim z całą szybkością sobie właściwą. Myśl ucieczki, jeźli i powstała w ich myśli, to jeszcze prędzej znikła; trzeba było przecież bądź co bądź bronić koni i wołów obładowanych. Młody przyrodnik wydał rozkazy obu sługom, aby strzegli ich tymczasem, a sam postąpił na przeciw słonia. Wierzchowiec nie przyzwyczajony do podobnego spotkania, drżał jak liść i nogi chwiały się pod nim.

Wiedząc, że życie jego w téj chwili zależy jedynie od trafności oka, Hans zeskoczył z konia, który uciekł w bok natychmiast. Słoń raniony znajdował się w téj chwili zaledwo o pięćdziesiąt kroków i uderzył na konia, nie spostrzegłszy może jeźdźca. Hans skorzystał z okoliczności. Wymierzył do słonia i dał ognia w chwili, gdy zwierz zбочzył w lewo, rzucając się na konia. Olbrzymi zwierz rzucał się z ogłuszającym rykiem: konie spłoszone, wyrwawszy się pilnującym, uciekały na wszystkie strony. W kilku ogromnych susach słoń dognał wierzchowca Konga. W jednéj chwili koń podrzucony był w górę i zakreśliwszy po nad grzbietem słonia łuk szeroki, padł martwy Kongo w czas zeskoczył z konia i uciekł z duszą. Był to ostatni wysiłek słonia. Cała psiarnia go otaczała z wraskiem szalonym. Postąpił jeszcze kilka kroków, chwiejąc się, jak okręt na falach wzburzonych i upadł nareszcie, jak stał grzbietem do góry.

— Psy wyobrażają sobie zapewne, iż to one powaliły słonia o ziemię — zawołał Henryk, który przybywał w téj chwili z Williamem i Arendem.

— Jeśli sobie to wyobrażają, to są tak niemądre jak Kongo — mruknął Facetan, do żywego dotknięty tém, co udało się zrobić Kongowi. Kafr uśmiechnął się tylko: rozbudzić zazdrość Facetana, było dla niego największą rozkoszą.

Słoń, ogromny samiec, padł martwy w kilka minut później. Kły jego miały po pięć stóp długości. Facetanowi powierzono ich odjęcie.

Koń Konga nie żył. Rozdzielono na inne konie pakunek jednego z jucznych koni i oddano go Kongowi. Następnie myśliwi puścili się w dalszą drogę.

Henryk, William i Arend, pragnęli koniecznie zajrzeć do jamy, w którą wpadł pierwszy słoń

Nigdy jeszcze nie widzieli tak schwytanego zwierzęcia.

— Hansie — rzekł Henryk — czy wolisz iść tam z nami? czy też pozostać przy rzeczach.

— Ech wolę zostać — odpowiedział przyrodnik.

— Zabierzmy Konga — rzekł Arend. — Przy jamie zastaniemy pewno krajowców. Dużo chat stało koło kukurydzy; to jakaś duża wieś.

— Pójdź Kongo! — rozkazał pan, i wszyscy poszli do jamy, z wyjątkiem Hansa i jego służącego, na których zazwyczaj spadały nudy i kłopoty w wyprawach, przedsięwziętych dla przyjemności innych.

XLIV.

Pałapka na słonie.

Zwierzęta są obdarzone rozmaitemi głosami, mogą ryczeć, wyć, piszczeć, jęczyć; ale ten głos, jakim odzywał się z jamy słoń schwymany, ten głos, na dźwięk którego uciekł słoń drugi, zdawał się jednocześnie w sobie wszelkie bolesne i gniewne dźwięki zwierzęcych głosów.

Słoń wydawał ten straszny wrzask nieustannie. Młodzi myśliwi obeznani ze sposobami chwytania słoni, wywnioskowali ztąd, że ten musiał być narażony w jamie na jakieś cierpienie okrutne.

— Pewno tam jest ustawiony pal ostry i białe zwierzę nań się wbiło — mówił Henryk.

Zbliżając się, ujrzano mnóstwo krajowców, otaczających jamę. Murzyn jeden, wstrętniej powierchowności, zbliżył się do przybywających białych, i ofiarował im sprzedać kły słonia, żyjącego jeszcze.

— No, — rzekł Kongo — jesteśmy tu bezpieczni. Ci ludzie przywykli już mieć do czynienia z białymi kupcami. Będą nas tylko okradać, ile się da, przy każdej sposobności.

Jama nie była czworokątna, i nie miała ostrego pała po środku, jak sądził Henryk. Była w kształcie olbrzymiego lejka, odwróconego szerokim otworem do góry. Ku dołowi jama okrąglą zwężała się tak, że nie było tam wcale miejsca, na którejby zwierzę mogło stanąć. Nogi więc słonia zeszły się z sobą zupełnie u dołu a naciśnięte były w tym wygięciu ciężarem olbrzymiego ciała: cierpienia biednego słonia musiały być niewypowiedziane.

Piekielna ta jama miała około dziewięciu stóp średnicy w najszerszym miejscu, a ośm głębokości. Każde poruszenie zwierzęcia wywoływało nowy jęk, nowy ból.

Dwie takie pałapki wykopane były jedna przy drugiej. Obie były doskonale nakryte, a przecież

słoń, widocznie ostrożny, domyślił się jednéj; znać było, że postawiwszy już nogę poruszył jęj zieloną powierzchnią i cofnął się w czas, a dopiero cofając się wpadł w drugą pałapkę tuż obok pierwszej urządzoną.

Wszyscy murzyni, otaczający jamę, mieli broń, ale żaden ani pomyślał, aby skrócić cierpienia słonia.

William przystąpił i podniósł strzelbę, mierząc do oczu zwierzęcia, już miał strzelić, gdy powstrzymali go krajowcy, otaczając go tłumnie, rozprawiając i gestykułując z ożywieniem.

Kongo, który język ich rozumiał, objaśnił Williamowi, że nie czas było jeszcze zabijać słonia.

— Dla czego? — spytał Arend — czy oni mają tak wielką przyjemność, patrząc na jego cierpienia?

— Ba! — rzekł Henryk po swojemu — ci poczciwcy lubią zapewne muzykę, trzymając więc słonia, jak kanarka w klatce i rozkoszują się tonami, wychodzącymi z jego gardziółka.

Jeden murzyn miał strzelbę, u której brakło tylko... zamku. Przystąpił z nią do Williama, dając mu do zrozumienia znakami, że potrzebuje kul i prochu do nabicia téj strzelby. William chciał się dowiedzieć, jak on myślał tego dokonać, ale murzyn wyznał, że sam nie wie. Polecił więc William Kongowi aby go zapytał, po co przyniósł z sobą tę strzelbę, ale z odpowiedzi pokazało się, że i o tém, to jest o zdawaniu sobie sprawy z własnych czynności, murzyn biedny nie miał wyobrażenia.

W téjże chwili ruch powstał między czarnymi obok jamy, a od strony wioski ukazała się idąca nowa gromada krajowców. Oznajmiono, że przybywa sam wódz i naczelnik wioski, który zachował sobie zaszczyt zabicia słonia. Wódz ten niedawno kupił strzelbinę jakąś u kupca, i zamysłał popisać się nią w obec oniemałych z podziwu i uwielbienia poddanych.

— On nigdy słonia nie ubije z téj nędznej strzelby — rzekł William, przypatrując się temu gratowi — prędzej sam się zabije lub kogo z obecnych. Jeżeli biedny zwierz nie może być z innéj strzelby zabity, to będzie musiał chyba z głodu zdychać.

(D. c. n.).

ROZMAITOŚCI.

Ptak ogrodnik. Przemysł ptaków przy budowaniu gniazd jest tak zadziwiający, że całe tomy o tém nieraz pisano, nie wyczerpując tego cieka-

wego przedmiotu. Możliwość w tych ptasich robotach odszukać podobieństwo do rozmaitych rzemiosł ludzkich. Niektóre ptaki, jak na przykład jaskółki, lepia gniazda z gliny, na wzór garncarzy, inne wyplatają je zupełnie, jak koszykarze, nawet i krawców nie brak pomiędzy rzeszą skrzydlatą.

Łatwiej jednak zrozumieć ten instykt, gdy idzie o zbudowanie gniazda, bo tu szczególnie działa miłość macierzyńska, a ta zwykle cudów dokazuje. Ale są dziwne ptaki, które budują sobie altany, coś nakształt salonów do wspólnej zabawy. Już dawniej kiedyś opowiadaliśmy wam o chlamyderach australskich, które urządzą sobie podobne altanki z gałęzi i zdobią je najrozmaitszymi błyskotkami. Parę lat temu odkryto znów w Nowej Gwinei osobliwszego ptaka, który ma dość skromne brunatne upierzenie, nie większy jest od naszego szpaka, w terminologii naukowej nosi nazwę *amblyornis inornata*. Żyje po lasach, w górzystych okolicach północnej części Nowej Gwinei.

Pewien podróżnik włoski, p. Beccari, zapuścił się w tej okolicy w głąb gęstego lasu, którego żaden Europejczyk przed nim nie zwiedzał. Jakież było zdziwienie jego, gdy ujrzał niespodzianie przed sobą na małej polance pomiędzy drzewami budynek, bardzo misternie urządzony, a przed nim przesłaniczny ogródek, zielonym mchem usłany i przetykany kwiatami i czerwonemi jagódkami.

Malajczycy, którzy towarzyszyli podróżnikowi, objaśnili go, iż to ptak taką chateczkę, czy też altankę sobie urządza, wcale jednak nie składa w niej jaj, bo do tego ma gniazdo osobne. Wybiera on zwykle miejsce, gdzie drzewa są przerzedzone, wynajduje najpierw młode, niskie drzewko, lub krzew, a wszystkie drzewa i krzewy pokryte są obfitością długich, giętkich gałązek pewnej parasolowej rośliny. Ptak z wielkim dowcipem te gałązki przyciąga do ziemi i wpycha w nią tak, że się wkorzeniają i tworzą zielone sklepienie dokoła pnia; wygląda to zupełnie, jak altanka wpleciona z gałęzi. Z jednej strony pozostawiony jest otwór niewielki, niby drzwiczki do altanki.

Otóż przed temi drzwiczkami ptak urządza ogródek. Zbiera najpierw kępki mchu, znosi je w dziobku i układa starannie, nakształt ozdobnego trawnika, wrywa każde ździebełko zeschnięte, odrzuca kawałeczki kory, słomy lub inne drobne przedmioty, któreby tę piękną murawę zanieczyścić mogły, potem wsadza w mech zielone, jaskrawe kwiateczki i jagódki. Wszystko to także w dziobku przynosi, a gdy kwiaty zwiedną i jagódki zeschną, wyrzuca je, zrywa świeże i ciągle

odnawia te ozdoby. P. Beccari sądził zrazu, że ma przed sobą jakiś dziecinny ogródek, tak to ładnie i gustownie wyglądało. Niedarmo też krajowcy Nowej Gwinei nadali osobliwemu temu ptaszкови nazwę *Tukan-koban*, co w ich języku znaczy ogrodnik.

SZARADA ODWROTNA.

(Rózia D. Anulce M.).

Pierwsza tak
Z pierwszym wspak —
Imię z kalendarza.
Drugie wspak z drugim tak —
Imię to powtarza.
Wszystko tak,
Wszystko wspak.
Toż imię raz trzeci,
Odgadnijcie, dzieci!

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Anulki J. z Niszowiec dla Wandzi i Luci K. w Czabanówce).

Z następujących zgłosek: a—a—bau—e—fi—lo—man—gi—no—ru—rab—ter—ułożyć wyrazy:
1. Nazwa wełny. 2. Minister perski. 3. Owoce zamorskie. 4. Potomek Izmaela. 5. Płyn wypełniający przestrzeń wszechświatową. 6. Wyspa na Dunaju. Pierwsze litery, od góry do dołu odczytane, utworzą imię sławnego malarza, ostatnie, w odwrotnym kierunku, nazwę rodzinnego jego miasta.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 31-go.

Łamigłówki zgłoskowej:

Rebus
Ara
Filon
Agassisz
Eboli
Loto
Rafael — Sanzio.

Łamigłówki głoskowej:

Fortuna kołem się toczy.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



KWIATY GÓRSKIE.

Słoneczko przygrzało, śnieg stopniał na wysokich górach i strumyczkami spływa w doliny, tylko gdzieś tam leżą jeszcze duże płaty białe w szczelinach, bo na wyżynach śnieg często nie topnieje przez cały rok, nawet i latem. Pod Zakopanem, w Tatrach, na skalistym wzgórzu, zakwitło mnóstwo ładnych kwiateczków.

— Śpieszmy, śpieszmy — wołają, podnosząc łebki w górę — trzeba nam prędko rosnąć, kwitnąć, żeby nasionka dojrzały, niedużo mamy na to czasu, wkrótce znów mrozy nastaną i spadną śniegi.

— Już ja śpieszę, jak mogę — mówi biała, puszysta szarotka — a w ciągłym jestem strachu, żeby mnie jaki podróżnik nie spostrzegł, bo zaraz mię zerwie, szach, mach, i już po nasionkach.

— Czego oni chcą od nas, ci podróżnicy? — rzecze prześliczny, pachnący storczyk liliowy — czy oni nie mają kwiatków w swoim kraju?

— Ba! wszędzie są kwiatki — odezwała się szafirowa goryczka — ale nigdzie podobno niema takich ładnych, jak w górach. Nie wiem sama, dla czego, bo przecież mówią, że na tych nizinach, z kąd owi podróżnicy do nas przyjeżdżają, lato trwa dłużej, niż tu, a zimą niema takich mrozów.

— Tak mówią — mówiła szarotka — a jednak jabym za nic nie chciała się przenieść do tych nizin, wiem, że nie mogłabym tam wyżyć.

— Ani ja, ani ja — powtarzały kwiateczki — w ojczyźnie zawsze najlepiej.

— Ach! żeby tylko ci podróżnicy nam dali pokój — westchnęła szarotka — na mnie szczególnie tak się uwzięli, że boję się, aby ród mój nie zaginął. Słyszałam, jak jeden pan opowiadał, że w górach szwajcarskich, Alpach, trudno już bardzo znaleźć szarotkę, wszystkie ci nieznośni podróżnicy powyrywali.

— Jużto ja się tego najmniej obawiam — odezwała się ogromna kąsina, wspaniale rozłożona na skale — najpierw liście mam bardzo kolące, a potem taka jestem duża, że nie przydam się do bukietu.

— Zapewne, zapewne — mówiła śmiejąc się szarotka — ładniebyś wyglądała w bukietcie, szczególnie przy mnie. Ale niejeden botanik zerwie cię dla osobliwości, bo takich olbrzymich ostów, jak ty, moja kąsino, niema nigdzie, tylko w górach.

— Ja tam wcale o to nie dbam, ażeby mi ładnie w bukietach wyglądała — odrzekła kąsina, trochę urażona — mam ja za to inne przymioty, dla których mię ludzie poszukują. Mój korzeń jest lekarstwem na rozmaite choroby, dla tego to nazywają mnie „dziewięcisiłem“, że niby mam siłę uzdrawiania dziewięciu chorób.

— Przechwalasz się, przechwalasz, moja kąsino — rzecze duża goryczka żółta — to ja jestem lekarstwem, bo mój korzeń ma gorycz w sobie i bardzo skuteczny bywa na cierpienia żołądka u ludzi; żaden aptekarz nie dba o ciebie wcale.

— Bardzo jestem z tego rada — mówiła kąsina nadąsana — nie mam najmniejszej ochoty iść do apteki, zostawiam to tobie.

— Ach! jakie też te osty są złośliwe, o najdrobniejszą rzecz się obrażają — szepnęła goryczka do szarotki.

A wtém ukazał się na wzgórzu podróżnik z siekierką w rąku, na plecach miał przewieszane blaszane, zielone pudełko, w jakie zwykle botanicy zbierają rośliny do zielników. Na ten widok kwiatki przerażone umilkły i starały się łebki poukrywać w trawce. Storzcyk schował się doskonale za dużemi liśćmi paproci, ale na nic mu się to nie przydało, bo miał tak mocny i miły zapach, że podróżnik węchem go odszukał i najpierw zerwał.

FELUŚ.

Feluś, chłopczyk ukochany,
Poszedł z ojcem między łąny,
Gdzie rozliczne rosły kwiatki,
A najpiękniejsze bławatki.

Daléj zrywać je po drodze
I tratować zboże srodze,
A jeszcze się gniewał mały,
Że mu kłosa zawadzały.

— Ach, ojczulku! powiedz, proszę,
Wszak ja słusznie pewnie wnoszę,
Gdyby tu kłosów nie było,
Więcéj by kwiatków schodziło?

Bo ja lubię te kwiateczki,
Z nich to wyplatam wianeczki,
Któremi zawsze w Niedzielę
Ozdabiam ołtarz w kościele.

Ojciec uśmiechnął się skrycie:
— To być może, moje dziecię,
Kwiatków więcéjby wzrastało,
Lecz chleba byłoby mało.

Niech was świetny blask nie mami,
Bo poznacie kiedyś sami,
Że ten zniknie niespodzianie,
A rzeczywistość zostanie.

Ignacy Stopczanski.

KOMAR I PAJĄK.

(naśladowane).

(Dokończenie).

— Nie wiem nawet — opowiadał daléj komar — czyśmy długo tak spali, przypominam sobie tylko, że gdym się przebudził, było mi ciepło, wesoło, bardzo jakoś przyjemnie, miałem też ogromną ochotę wydobyć się z mojego ciasnego pokrowca. Słońce ślicznie świeciło, położyłem się na wznak na powierzchni wody i pływałem tak zupełnie,

jak w łódce, w tym dziwnym pokrowcu, spoglądając w błękitne niebo.

Wtém słyszę tuż przy sobie głosik cienuiteńki, patrzę, na kamyku wystającym z wody, siedzi na wysokich łapkach jakaś skrzydlata istotka. Teraz i ja tak samo wyglądam, bo to był komar.

— Cóż to, nie poznajesz rodzonej siostrzy czki? — mówi do mnie — chodźno, chodź, wyłaź czémprędzěj z tego pokrowca.

Nie łatwo mi to przyszło, fale raz wraz unosiły mnie, kołysały, ale pracowałem wytrwale, i nakoniec wydobyłem jedno skrzydełko, potém drugie, przeciągnąłem je i podleciałem na ten sam kamyczek, na którym siedziała kochana siostrunia. Rozwinęliśmy skrzydełka i odlecieliśmy razem na ląd, a tu napotkaliśmy liczne gromadki braciszków i siostrzyczek, fruujących i tańczących wesoło w powietrzu. Zabręczeliśmy wszyscy razem na wiwat i rozlecieliśmy się w różne strony.

— Dziwne to są rzeczy — mówił pająk zamyślony — któżby się spodziewał, że komary wylatują z wody. Ale cóż się stało z twoją siostrzyczką?

— Nie wiem — odrzekł komar — lecieliśmy razem przez most, ale tu jěj się koniecznie zachciało usiąść na grzbiecie konia, ja znów wolałem za ludźmi się uganiać. Pospieczaliśmy się, ona odleciała w jedną stronę, a ja w drugą.

W téj chwili jaskółeczka chyżo fruwała obok latarni, zaczęła niechcący pazurkiem pajęczynę i uniosła razem z nią pająka i komara aż na komin.

Ale w czasie téj podróży komar oswoodził się z więzów, a gdy pająk ze swoją siecią zatrzymał się na krawędzi komina, on spadł tak szczęśliwie, że z całemi skrzydełkami znalazł się znowu w powietrzu i odleciał do przyjaciół, bręcząc wesoło i opowiadając im swoje przygody.

Pająk wcale nie był zadowolony ze zmiany miejsca i podobno chce się przenieść gdzieś niżej, bo na wysokim kominie daleko mniej muszek i komarów przelatuje.

JÓZIA W KRAINIE LALEK,

wyjątki z listów małéj podróżniczki.

(Dalszy ciąg).

— Och! — krzyknęła Józia — to pewno znów za karę, albo do więzienia niosą tego

nieszczęśliwego! — i ręce załamała dziewczynka z żalu, bo już widziała ona w podróży różne dziwne kary, chińskie mianowicie.

— Ale gdzie tam, moje dziecko — rzekł tатko — uspokój się.

— To jakiś niezbyt zamożny japoński pan jedzie przez miasto w otwartej najtańszej i najpospolitszej lektyce tutejszej — dodał pan Poncet. — Patrz, kochanie, oto druga i trzecia podobna, a tam widzisz pędzą biegacze, niosąc bogatszych mieszkańców w zamkniętych lektykach.

Józia popatrzyła na tłum różnorodny, zwiększający się w miarę, jak podróżnicy nasi wchodziłi w główniejsze ulice i rzekła:

— Te zamknięte lektyki przecież choć podobne są do sporych pudełek, skurczywszy się i usiadłszy po japońsku na piętach, można tam siedzieć wygodnie, ale w tych ramkach otwartych nie chciałabym siedzieć za nic w świecie! Pewna byłam, że to jest jakiś rodzaj kary. A wózków to niema tutaj chyba wcale, bo ich nie widać?

— Są i tu wózki, ciągnięone przez takich samych biegaczy — odpowie pan Poncet — ale istotnie jest ich bardzo mało, starym zwyczajem wszyscy noszeni są w lektykach.

Józia umilkła, słuchając pilnie, jak na pytania mamy odpowiadała pani Poncet, że w Yeddo wszystkie ulice są takie szerokie i proste, jak ta, którą szli teraz właśnie, i dla tego też to miasto zajmuje niezmierną rozległość i jest zdrowe i czyste, aż miło.

Usłyszawszy to, dopiero Józia, odurzona w pierwszej chwili nowemi widokami, zaczęła się lepiej rozglądać. Istotnie ulica była prosta, jak strzełi, szeroka bardzo i cała wyłożona ślicznie płaskimi kamieniami, podobnemi niby do pięknej posadzki w pokoju. Po tej posadzce biegło mnóstwo ludzi w różne strony, biegacze z lektykami i z ciężarami, przekupnie i inni.

— Józiu! — zawoła Matylda, przyzwyczajona do tego wszystkiego i swobodnie idąca za Józją obok pań — Józiu! patrzno; wszyscy tutaj idą prawie boso, a jednak, spojrzawszy na nogi, można zgadnąć na pewno, kto jest wysokiego rodu, kto bogaty, a kto ubogi; zgadnij, po czém to się poznaje?

Józia popatrzyła na nogi japońskie i rzekła:

— Nie zgadnę tego nigdy; nikt nie ma pończoch na nogach, każdy ma śliczne pantofelki jakies błyszczące, jakże tu poznać po nogach godność tych ludzi? prędzej już mo-

że poznałabym po sukniach, gdyby mi się tylko nie migało tak wszystko i nie mąciło w tym tłumie.

— A otóż poznać bardzo jest łatwo — powiedziała Matylda — ojciec mię w jedną minutę tego nauczył; najprzód kto prędko biegnie, ten jest z pewnością ubogi i dla zarobku tak biegać musi, a więc, żeby mu było wygodnie, nosi te śliczne z błyszczącej słomy pantofelki, do złotego obuwia podobne, bo tu wszystko śliczne jest, jakby dla zabawy przeznaczone. Widzisz te błyszczące stosiki na wierzchu każdej lektyki? to kilka par tych pantofelków leży tam do zmiany dla biegaczy, gdy im się podrą od biegania. Kto wolno idzie w takich pantofelkach, ten z pewnością jest zamożny. Ale czy nie uważasz, że niektórzy jeszcze wolniej i zgrabniej idą i troszkę odmienne mają trzewiczki?

— A prawda! — zawołała Józia — takie same śliczne, ale mają jakies dziwne obcasiki błyszczące, czy podeszwy takie strasznie grube, czy drewnienka jakies takie wysokie i to pod całym pantofelkiem, że się aż człowiek przez to daleko wyższym wydaje. Że też ja tego nie spostrzegłam dotąd!

— Otóż takie wysokie pantofelki noszą tu ludzie znakomitego rodu — powiedziała Matylda — chociaż gdy im się sprzykrzy stąpać tak uroczyście na wysokiem obuwiu, to i oni je zrzucają i biegają także w płaskich pantofelkach, bo wszyscy są bardzo weseli i żywi.

Józia, słuchając Matyldy, biegała oczami i tu i tam, nie wiedziała na co wprzód patrzeć.

— Czyście państwo już zmęczeni, że tak wolno idziecie? — zapytał pan Poncet — może weźmiemy te zamknięte, dość wygodne lektyki, aby dostać się do głównych sklepów?

— Nie, nie! dziękujemy za lektyki, chcemy patrzeć — zawołano chórem. A ojciec Józji dodał:

— To nie zmęczenie temu winno, że tak wolno idziemy, tylko moja córka, która mię ciągle przytrzymuje za rękę, żeby iść wolniej i przypatrywać się.

Istotnie Józia znów utonęła oczyma w głębiach japońskich domków papierowych, które tutaj równemi już dwoma rzędami ciągnęły się wzdłuż ulicy, a podniesione ich ściany papierowe wyglądały jak werandy i ukazywały całe wnętrze mieszkań i zatrudnionych mieszkańców; przypominało to zdaleka paryzkie marynetki. Wszystkie podłogi były wysłane ślicznemi matami, podobnemi do je-

dwabnych kobierców. Na środku takiego papierowego, jedwabiem wysłanego pokoiku, stała nieduża szkatuleczka, lśniąca i błyszcząca, cacko prześliczne, a na niej także sama czara, czy puhar, czy wazon świetny jak słońce, a w tym naczyniu tkwiła gałązka jabłoni, cała obsypana kwiatem ogromnym i tworząca jeden spory i gęsty bukiet. Maleńka, śliczna szafeczka, jak na kredens dla lalek, stała w kąci i zawierała całe japońskie gospodarstwo, także, jakby dla lalek przeznaczone, o czém Józia dobrze już wiedziała, chociaż zdaleka trudno to było rozróżnić dokładnie.

Obok tego pokoju stała sobie śliczna Japonka, nie wielka gosposia, jak widać, bo jeszcze w krótkiej spódniczce, co znaczyło, że jeszcze nie ubrana, i czesała olbrzymie włosy, sięgające jęj do stóp prawie. Józia słyszała już o zręczności Japonek w tym względzie, a jednak zdziwiła się, gdy ta Japonka upięła prześlicznie te włosy, zanim Józia, idąc wolno, straciła ją z oczu.

— Jeszcze i zmoczone były te jęj ogromne włosy! — zawołała Józia zdumiona, wiedząc dobrze, ile to kłopotu mama miewała z jęj włosami po umyciu, chociaż nie były tak duże.

— Tak, były zmoczone, bo musiała się dopiero co tam wykąpać — odezwała się Józia i wskazała obszerną, ale niską beczkę, stojącą obok jednego z małych domków.

Przy każdym domku była beczka podobna, do niektórych biegacze wlewali wodę, a z innych ją wylewali.

(D. c. n.).

ZAGADKA HISTORYCZNA

(ułożona przez M. H. w Iwańsku).

Było to po burzliwych obradach w kraju naszym, gdy dwa przeciwne sobie stronnictwa każde innego chciało wybrać króla.

Wybrany wreszcie został królewicz z sąsiedniego kraju, pochodzący przez matkę z rodu, który panował dawniej w Polsce.

Książę niemiecki, którego stronnictwo przeciwne chciało wzniesić na tron, wpadł do Polski, chcąc przemocą zdobyć dla siebie koronę. Gdy Niemcy zbliżali się pod zamek warowny, położony niedaleko od Krakowa, dowodził załogą dzielny mąż. W poprzednich

już wojnach stracił siedmiu synów w obronie ojczyzny.

Nieprzyjaciel wezwał go, aby się poddał, a gdy tego nie chciał uczynić, postanowił nieprzyjaciela zdobyć szturmem zamek. Właśnie w tym czasie Niemcy pochwycili w pobliskiej wiosce piastunkę z najmłodszym, jedynym pozostałym synkiem dowódcy załogi.

Wpadli oni na istniejący szatański pomysł, otóż kazali nieść dziecinę przed wojskiem, idącym do szturm, sądząc, że gdy ojciec pozna swego synka, bez rozlewu krwi podda im zamek. Dowódca na ten widok struchlał, lecz wnet, słuchając tylko głosu miłości ojczyzny, zawołał: „Pierwój byłem Polakiem, niż ojcem,” chwycił rozpalony lont i podpalił działo, co śmierć wrogom niosąc i jego syna rozzerwało. Tak bohaterski ojciec poświęcił na ołtarzu ojczyzny najtkliwsze uczucia rodzicielskie. Zginęła ostatnia jego pociecha, lecz nieprzyjaciel został odparty.

Oto piękny przykład miłości ojczyzny i każde dziecko powinno znać i w pamięci swęj zachować imię tego szlachetnego męża.

Łamigłówka w kwadraciku.

(Zosi W.).

W kwadraciku z 16 przedziałek umieścić 8A—1K—2L—1N—1R—2W—1Z, aby utworzyć w obu kierunkach: 1. Napój. 2. Jezioro w Azji. 3. Nazwisko króla polskiego. 4. Imię mężkie cudzoziemskie.

Rozwiązania do Nr-ru 30-go:

Zagadki:

Dziewczynka.

Łamigłówki zgłoskowej:

Ren — len — sen — ten.

Rozwiązania do Nr. 31-go

Zagadki:

Lud — Lód.

Łamigłówki w kwadraciku:

O G A R

G A M A

A M -A N

R A N O